



LEON HR. TOŁSTOJ

∴ ∴ SPÓŹNIONA ∴ ∴
SPRAWIEDLIWOŚĆ

HISTORIA PRAWDZI-
WAO WIĘŹNIU NIE-
WINNIE CIERPIĄCYM
W KATORDZE ∴ ∴ ∴

LEON HR. TOLSTOJ

SPOŹNIONA SPRAWIEDLIWOSC

Historia prawdziwa o więźniu
niewinnie cierpiącym
w katordze.



1911

SN

ze zbiorów

STANLEYA NAJA

Spóźniona Sprawiedliwość.

W mieście Włodzimierzu, mieszkał młody kupiec Aksenow. Miał dom i dwa sklepy.

Aksenow był rudy, kędzierzawy, przystojny, pierwszy do tańców i do śpiewów. Za młodu pił dużo, a gdy się upił, wyprawiał brewerye; ale po ożenieniu usattkował się, i tylko kiedy niekiedy, przy okazji, podchmiał się nieznacznie.

Pewnego razu, latem, Aksenow pojechał na jarmark do Niżniego. Na wsiadaniu, żona go prosi:

—Iwanie, nie jedź, brzydtko mi się śniłeś tej nocy.

Aksenow zaśmiał się.

—Boisz się zapewne, żebym nie hulał na jarmarku,—rzekł.

A ona mu na to:

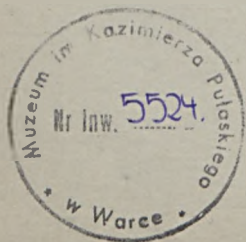
—Sama nie wiem, czego się boję, tylko pamiętam: śniło mi się, przychodzisz z miasta bez czapki, patrzę, a tu głowa cała siwa.

Aksenow roześmiał się.

—Dzieciństwa—rzekł.—Zobaczysz, wrócę zdrow i przywiozę ci śliczny gościniec.

Pożegnał się z rodziną i pojechał.

W pół drogi spotkał znajomego kupca i zatrzymał się z nim razem na nocleg. Napili się herbaty, poszli spać, wzięli pokoje obok siebie. Aksenow zwykł był wstawać wczesnie. Obudził się wśród nocy. Chcąc je-



chać o chłodzie, kazał zaprzęgać, zapłacił gospodarzowi oberży i wyruszył.

Ujchawszy ze czterdzieści wiorst, zatrzymał się przed karczmą, żeby konie popaść. Kazał nastawić samowar. Wtem zajeżdża trójka; z bryczki wysiada urzędnik z dwoma żołnierzami, zbliża się do Aksenowa i pyta go: skąd i kto zacz?

Aksenow opowiada co i jak, zaprasza na herbatkę. Ale urzędnik wciąż pyta: gdzie nocował wczoraj? Sam, czy z kupcem?

Czy widział kupca nazajutrz? Dlaczego tak wcześniej odjechał?

Aksenow zdziwił się, czemu go o to wszystko pytają, opowiedział, jak było i mówi:

—Cóż to bierzecie mnie na spytki? Toć ja nie złodziej ani zbój żaden. Jadę w swoim interesie. Zostawcie mnie w spokoju.

Wtedy urzędnik zawołał żołnierzy i mówi:

—Jestem sprawnik, a pytam się dlaczego, że kupiec, z którym nocowałeś wczoraj, zarżnięty. Obszukać go!— zawołał do sokdatów. Wzięli walizę i torbę—przeglądają. Wtem sprawnik wyjmując z torby nóż.

—A to czyj?—krzyknął.

Aksenow zbładł, widzi nóż okrwawiony. Przestraszył się.

—Skądże ta krew?—pyta sprawnik.

Aksenow chciał odpowiedzieć, ale nie mógł głosu wydobyć.

—Ja... nie wiem... ja noża... to nie mój... ja...

A sprawnik powiada:

—Nad ranem znaleźli w łóżku zarżniętego kupca. Ty z nim spałeś. Ty tylko mogłeś go zabić. Pokój był

zamknięty z wewnątrz... A oto i nóż zakrwawiony, zresztą dość na ciebie spojrzeć. Mów, jakżeś go zabił i wiele zebrałeś pieniędzy.

Aksenow zaklinał się na wszystkie bogi, że to nie on zamordował kupca, że ma przy sobie 8000 rubli, ale swoich. Był blady, drżący, wyglądał na winowajcę.

Sprawnik przywołał żołnierzy, kazał go związać i posadzić na brykę. Gdy mu wiazano ręce i nogi, Aksenow zapłakał. Zabrali mu pieniądze, towary i odstawili go do więzienia.

Posyłano do Włodzimierza dowiadywać się. Wszyscy kupcy i mieszkańcy świadczyli, że Aksenow pił i hulał za młodu, ale że się potem ustatkował i że jest uczciwym.

Stawili go przed sąd. Osądzili za zabicie kupca i okradzenie go na 20,000 rubli.

Zona nie wiedziała sama, co o tem myśleć. Dzieci były jeszcze małe. Zabrała wszystkie ze sobą i pojechała do tego miasta, gdzie mąż siedział w więzieniu. Z początku nie chcieli jej do niego puszczać, lecz wreszcie uprosiła głównego dozorcę.

Ujrzawszy go w więziennym kitlu, wśród zbójców, oniemiała. Potem zaczęła go pytać, jak to się stało.

Opowiedział jej.

—I cóż teraz?—zagadnęła.

—Trzeba zwrócić się do łaski Monarszej—odrzekł.— Toć niewinny ginąć nie może.

A ona mu powiedziała, że już prośba oddawna posłana, ale do rąk nie doszła. Aksenow umilkł.

—Widzisz—mówiła żona—nie darmo wtedy ostrzegalam cię, żebyś nie jechał. Sniło mi się, że cię widzę żywym. I posiwiaksz naprawdę.

Głaskała go po głowie i nagle, przyciszonym głosem spytała:

—Wania, mnie, żonie, powiedz prawdę; zabiłeś?

—I ty tak myślisz?—szepnął Aksenow, zakrył twarz rękoma i zapłakał.

A potem przyszedł żołnierz i wyprowadził żonę z dziećmi.

Gdy wyszła, Aksenow powiedział sobie:

—Bóg tylko jeden nie wierzy, bo wie jak było. Od niego jedynie może przyjść ratunek.

Więc przestał podawać prośby, przestał spodziewać się sprawiedliwości od ludzi.

Osadzono go na sto batów i na ciężkie roboty.

Przebył w nich lat 26. Włosy mu zbieleły, wyrosła mu długa broda, zgarbił się, mówił mało, rzadko się śmiał, ale często się modlił.

W więzieniu nauczył się szyć buty, za zarobione pieniądze kupił sobie Nowy Testament i czytał, dopóki było jasno, a w dnie świąteczne chodził do cerkwi i śpiewał w chórach.

Zwierzchność go lubiła, bo był spokojny, a towarzysze więzienni mieli dla niego szacunek, nazywali go "człowiekiem Bożym." W razie kłótni i sporów, on ich sądził, on też im wypraszał u władzy różne ulgi. Dla siebie nigdy o nic nie prosił.

Nie otrzymywał nigdy listów. Nie wiedział, co się dzieje z żoną i dziećmi.

Pewnego razu przywieźli nową partycję skazańców. Wieczorem dawni "katorżnicy" otoczyli nowych i wypytywali ich, kto z jakiej wsi, z jakiego miasta i za co tu zesłany. Aksenow także się przysiadł i słuchał, co

opowiadają nowi. Jeden z nich był wysoki, siwy, mógł mieć lat ze sześćdziesiąt. Mówił:

—Ot, bracia, niewinnie się tu dostałem. Koń urwał uprząż u sani, a oni powiadają, że to ja odciąłem go i ukradłem. A tego nie wiedzą, kiedy i co ukradłem naprawdę. Oddawna już należało mi się tu dostać, jednak nie złapali. A teraz najniewinniej, jak Boga kocham.

—A ty skąd?—pytał go jeden z więźniów.

—Z miasta Włodzimierza. Po imieniu Makary a po ojcu Siemionowicz.

Aksenow podniósł głowę i zapytał:

—A nie słyszeliście tam o kupcach Aksenowych?

—Słyszeć, słyszałem. Bogaci. Nie darmo ojciec w Sybirze. Taki tam, jak i my, grzesznik. A ty, diadia, skąd rodem?

Aksenow nie lubił mówić o swoim nieszczęściu. Westchnął i rzekł:

—Za winy moje 26-ty rok już tu siedzę.

—A za jakie?—pytał Makary.

—Ha! widać, zasłużyłem—mruknął Aksenow i nie już mówić nie chciał, ale inni opowiedzieli nowemu towarzyszowi, za co on dostał się na Sybir: że ktoś po drodze zabił kupca, a jemu podrzucił nóż okrwawiony.

Usłyszawszy to, Makary spojrział na Aksenowa, uderzył się ręką po kolanie i zawołał:

—No, no! To ci traf! Postarzałeś się do niepoznania.

Zaczęli go pytać, gdzie on Aksenowa widział, ale Makary nie chciał mówić.

—Dziwy, co za dziwy—mruczał pod wąsem.—Ot, gdzie my się spotkali!

Słyszac to, Aksenow pomyslał, że ten człowiek znał może zamordowanego kupca.

—Musiałeś ty o tem słyszeć, albo mnie dawniej znałeś—rzekł.

A Makary na to:

—Może i słyszałem. Nie pamiętam. Tyle czasu!

—A doszło może do twoich uszu, kto kupca zabił?

Makary zaśmiał się i rzekł:

—Zapewne ten, u kogo nóż znaleźli. A choćby nawet ktoś tobie ten nóż podrzucił—nie złapali go, więc nie winny. Zresztą czy kto mógł nóż podrzucić? Toćbyś się obudził.

Aksenowa coś tknęło.

—Ten to właśnie człowiek zabił kupca—rzekł sobie,

Nic już więcej słyszeć nie chciał. Wstał i odszedł.

Przez całą tę noc spać nie mógł. Chwylił go straszny żal i smutek. Przed oczyma stanęła mu żona—widział ją, jak żywą i siebie widział, takim, jakim był, wyjeżdżając na jarmark,—młodym, wesołym. I przypomniał sobie, jak go różgami siekli, jak na Sybir więzili. Całe życie w więzieniu przesuwalo się przed jego oczyma—ciężkie, szare życie.

—A wszystko przez tego lotra!—myślał.

I chwyciła go taka złość na Makarego, że choćby miał sam zginąć, chciał swą krzywdę pomścić. Przez całą noc modlił się, ale nie mógł się uspokoić. Nazajutrz nie zbliżał się do Makarego, nawet na niego nie patrzył.

Tak zeszło dwa tygodnie. Aksenow nie mógł spać po nocach, ogarniał go taki smutek, że nie wiedział co z sobą począć.

Pewnego razu, wśród nocy, zaczął chodzić po więzieniu i zobaczył, że z pod jednej pryczy sypie się ziemia. Stanął, popatrzył. Nagle z pod pryczy wyskoczył Makary i spojrział na niego z przestachem. Aksenow chciał odejść. Makary chwycił go za rękę i opowiedział mu, że kopie podziemne przejście pod ścianami, że wynosi codziennie ziemię w cholewach i wysypuje ją podczas robót przymusowych.

—Jeżeli pary z ust nie puścisz, to i ciebie wyprowadzę—mówił.—A gdybyś mnie zdradził, dostanę bizuny, ale i tobie dostanie się ode mnie.

Aksenow wyrwał mu rękę i rzekł:

—Nie mam po co uciekać, a zabijać mnie już nie potrzebujesz. Zabiłeś mnie oddawna. Czy cię zdradzę, czy nie, to moja rzecz.

Nazajutrz, gdy wyprowadzili "katorżników" na robotę, żołnierze spostrzegli, że Makary wysypuje ziemię, zaczęli obszukiwać i znaleźli otwór. Przyjechał do więzienia naczelnik i pytał wszystkich, kto ten przekop zrobił?

Wszyscy się zapierali. Kto wiedział, nie chciał wydać Makarego, bo było wiadomo, że za taką sprawkę sieć go będą prawie na śmierć.

Wówczas naczelnik zwrócił się do Aksenowa. Wiedział, że to człowiek sprawiedliwy i rzekł:

—Powiedz mi, jak przed Bogiem, kto to zrobił?

Makary stał spokojnie, ani drgnął nawet, patrzył na naczelnika dobrodusznie. Ręce Aksenowa zdrząły, zdrząły mu usta. Myślał: "Po co go osłaniać, wszak on mnie zgubił! Niech ma za moją mękę. Powiem—to go na śmierć zasięka. A nuż go posadzą niesłusznie, Lżej mi to będzie, jak go zdradzę?"

Naczelnik raz jeszcze do niego się zwrócił:

—No, stary, powiedz kto to wykopał?

Aksenow spojrzął na Makarego i rzekł:

—Nie mogę powiedzieć, wasze błagorodje. Mnie Bóg nie pozwala. Róbcie ze mną, co chcecie, nie powiem.

Na nic się nie zdały prośby, powyższe pogróżki. Aksenow nic już więcej nie rzekł. I nie dowiedzieli się, kto zrobił podkop.

Nazajutrz, gdy Aksenow ułożył się do snu i już drzemał, słyszy, że ktoś do niego się zbliża i siada w nogach na pryczy.

Spojrzął i wśród ciemności poznał Makarego.

—Czego chcesz ode mnie?—rzekł.

Makary milczał.

—Precz stąd—burknął—bo zawołam żołdata.

Makary nachylił się nad nim.

—Iwanie Dmitrowiczu, przebac—szeptał.

—Co mam przebaczyć.

—To ja zabiłem kupca, ja podrzuciłem nóż. Chciałem i ciebie zabić, ale spłoszył mnie szelest.

Aksenow milczał. Nie wiedział, co powiedzieć. Makary do nóg mu się pochylił.

—Iwanie Dmitrowiczu daruj. Ja przyznam się, że kupca zabiłem. Ciebie wypuszczą. Wrócisz do domu.

—Łatwo tobie mówić, odpowiedział Aksenow, a mnie lekko było cierpieć? Gdzie ja teraz pójdę? Zona umarła. Dzieci zapomniały.

Makary tłukł głową o ziemię i mówił:

—Iwanie Dmitrowiczu, przebacz! Kiedy mnie siekli knutem, lżej mi było, jak teraz. A ty jeszcze pożałowa-

łeś mnie—nie zdradziłeś. Przebacz, na rany Chrystusowe, przebacz łotrowi.

I zaszczołał.

Aksenow sam zapłakał i rzekł:

—Bóg ci przebaczy. Kto wie? Ja może sto razy gorzy od ciebie.

Odtąd przestał tęsknić za domem, myślał tylko o śmierci.

Makary wyjawiał prawdę zwierchności, do winy się przyznał. Gdy wreszcie przyszło pozwolenie, żeby Aksenowa wypuścić z tury, —Aksenow już nie żył



Dziady w Polsce.

Dziady, żebracy, stanowili w Polsce, jak wszędzie, od najdawniejszych czasów, klasę osobną obyczajami, zajęciem, uprawą umysłową, fizyognomią swoją, od innych wielce różną. Oni niejako pośredniczyli między ludem a duchowieństwem, stanowili niejako ostatni poziomy szczebel sług kościelnych, byli ludu lekarzami, doradcami, swatami, kumami; od kolebki do mogiły dziad i baba co chwila potrzebni byli wieśniakom. Baba przyjmowała dziecko, gdy się narodziło, baba obmywała zziębłe ciało starca, gdy umarł, kładła go w trumnę i śpiewała nad nim wigilie. Strój dziada bywał rozmaity, najpospoliciej jakiś najędzniejszy łachman go okrywał, płaszcz łatany, umyślnie odarty. Dodatkiem do tego bywały szcudła, "biesagi," czyli sakwy, "kotwica," czyli pudło zgięte, noszone na plecach, kij, czyli "kosztur" w ręku, często dla obrony przed psami, skórą jeża obwinięty na końcu, lub długi, przysłowiowy "bicz dziadowski." W niektórych wszakże stronach, jak na Podolu, na Ukrainie można nieraz było oglądać dziadów zupełnie przyzwoicie, a nawet dostatnio odzianych, w porządnym świątkach, w butach fuchtowych z długimi cholewami i w wysokich czapkach baranich, zwłaszcza pomiędzy lirnikami.



Wszystkowie też przyodziewali się, bądź to udawający pielgrzymów, bądź istotnie pielgrzymujący z Polski do Rzymu. Nosili oni ciemne szerokie płaszcze, tłomoczki skórzane na plecach, kapelusze ze sznurkami; u pasa mieli wiszące paciorki różańcowe, czasę miedzianą do czerpania wody, a w ręku wysoką laskę pielgrzymią. Ci stanowili arystokrację dziadowską i cieszyli się wielkiem poważaniem u ludu, zwłaszcza tacy, którzy istotnie byli w Rzymie, albo, co większa, w Ziemi Świętej, i powrócili stamtąd z wielkim zbiorem świętych pamiątek, oraz legend cudownych, obok najdziwniejszych powieści o trudach i przygotowach swej pielgrzymki.

Niektórzy też chodzili ze skarbonką, kwestując na kościoły lub szpitale. Baby i dziady włóczyli się nie ustannie z odpustu na odpust, z jarmarku na jarmark; rzadko szli w większej liczbie razem, gdyż samiby, sobie przez to szkodzili. Słupy ze swoim przewodnikiem, głuchym lub chromym, dziad z babą przyjaciółką chodzili, dzieląc się jałmużną zebraną, niekiedy się klócąc i bijąc o nią. Na odpustach tłumy niezliczone zasiadały cmentarze kościelne, śpiewając, wykrzykując, ukazując rany ohydne, bardzo często sprowadzane ziołami jęczącymi, albo maściami, ofiarując świeczki, medaliki, różańce i obrazki na sprzedaż, albo też różne leki, udając kaźń Bożą, obłąkanie, paraliż itp. Dzień zaduszny, jak jest dzisiaj, tak był i z dawna dniem najuroczystszy w roku dla dziadów, bo w nim najsutszą odbierali jałmużnę za dusze zmarłych. To też w dniu tym mieli oni jakoby wyprawiać sobie składkowy bal dziadowski, na którym się dopuszczali rozmaitych zbytków.

Dziadowie w ogólności w dawnych czasach, nie tylko wśród ludu pobożnego, ale także w klasach możnych, doznawali względów niemałych. W wieku XV i XVI panowie i biskupi nieraz wydawali uczty dla dziadów; nieraz także wzywano ich do podawania dziecka pańskiego do chrztu, w przekonaniu, że to szczęście na nie sprowadzi; z pośród nich też i za dni naszych, dwunastu najwybrańszym biskup umywał nogi w Wielki Czwartek i hojnie ich przytem obdawał. W ogólności jednakże klasa włóczęgów była stekiem ludzi rozwiązłych, szkodliwych i niebezpiecznych; zdarzali się między nimi już nie tylko złodzieje, rabusie, podpalacze, lecz nawet truciele i zbóje. Mieli też do porozumiewania się z sobą w przedsięwzięciach zbrodniczych oddzielny i właściwy swój język, o którym wspominają dawni pisarze. Składał się on po większej części z wyrazów pospolitych z przekreconem tylko znaczeniem, lecz miał także i swoje własne. Dziadowie w różnych okolicach tworzyli rodzaj stowarzyszeń, niejako cechów, które obierały sobie dzielnice miasta, lub jakieś wioski, czy parafie, gdzie przywłaszczali sobie, jak gdyby monopol żebracki. Jest też podanie, że obierali sobie króla dziadów. Z biegiem czasu typy takich dziadów powoli znikają i tylko w dzień Zaduszny na cmentarzach, lub gdzieś podczas odpustów wiejskich, można dotąd spotkać charakterystyczne postacie dziadów, uprawiających żebranie jako zajęcie, nawet dziś jeszcze dość korzystne.

